Jack Williamson

Zamaskowana planeta

(The Masked World)

Worlds of Tomorrow, October 1963
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Planeta miała twarz skrytą maską.

Z odległości dziesięciu milionów mil, była tylko ciemnożółtym okiem. Z jednego miliona, pokryła się bliznami i spoglądała jakby chytrze i groźnie. Na zewnątrz dymiącego kręgu wypalonego przez rakiety naszych silników, zwieszała się ohydna kotara dżungli, pełna włochatych czarnych macek i ogromnych ziemistych kwiatów, kryjących zagadkę swych złowrogich genów.

Na większości planet znalezionych przez nas, astronautów, życie jest mniej więcej zbliżone do naszego. Podobne nukleotydy łączą się w podobne helisy łańcuchów DNA, przenoszące podobne informacje genetyczne. Podobne procesy replikują te łańcuchy, podczas podziału komórek, przenosząc złożone schematy określonego korzenia, oka, czy skrzydła, dokładnie, bez żadnych zmian, przez tysiące pokoleń.

Na tej planecie jednak, nawet geny były odmienne – ogromnie złożone. Tutaj, wydawałoby się najprostsze rośliny, miały więcej i dłuższych łańcuchów DNA, niż gdziekolwiek indziej. Jakie informacje przenosiły?

Przylecieliśmy tu, aby je odczytać, przy pomocy nowej genetycznej mikrosondy. Sto ton cennego sprzętu mikroskopowego i elektronicznego, stworzonych zostało w celu obserwacji i manipulacji najmniejszymi jednostkami życia. Mógł on sięgnąć nawet do tych dziwnych genów.

Na tym polegała nasza misja.

Nasz statek był siódmym statkiem badawczym, który zbliżył się do tej planety. Sześć poprzednich zaginęło bez śladu. Przybyliśmy tu także, aby dowiedzieć się, dlaczego.

Naszym pilotem był Lance Llandark. Szczupły, twardy mężczyzna, milczący i zimny prawie tak, jak opakowana na szaro mikrosonda. Nienawidziliśmy go – dopóki ktoś nie dowiedział się, dlaczego zgłosił się na ten lot.

Jego żona była pilotem statku poprzedzającego nasz. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, zaczęliśmy odbierać skryte napięcie w jego zmęczonym głosie, monotonnie wywołującym na każdym paśmie:

— Zgłoś się, Szóstka… Zgłoś się, Szóstka…

Szóstka nigdy się nie zgłosiła.

Przez dwa dni obserwowaliśmy planetę. Płytkie zagłębienie, wyrzucone przez nasze silniki. Opalone ogniem odrzutu pniaki. W tyle, dżungla – maska na pokaz, skrywająca te potworne geny – cuchnąca, ciemna, całkowicie obca.

Trzeciego dnia Lance Llandark zabrał dwójkę z nas helikopterem. Latając po siatce nad obszarem w którym wylądowaliśmy, odkryliśmy sześć niewielkich znamion na tej ponurej dziczy, w miejscach gdzie kiedyś musiały wylądować nasze statki.

Usiedliśmy w najświeższym kraterze, w którym czarne resztki drzew sterczały jak połamane zęby z dziwnie pustego, czerwonego błota. Przez jego środek sączył się strumień, pokryty żółtymi szumowinami. Nad strumieniem znaleźliśmy oczyszczony do kości ludzki szkielet.

Obok kości stała na straży jakaś koszmarna roślina. Jej grube liście pokryte były dziwnymi smugami, poskręcane w roślinnej agonii, wyglądały na wpół jak zatrute kolce, na wpół jak przekwitłe kwiaty. Na kości ludzkie spadały z niej bezkształtne kłęby gnijących owoców.

Lance Llandark stanął jak wryty.

— To jej turkusowy totemiczny ptak burzy. — Pokazał nam ręką kawałek poczerniałego kamienia ze srebrnymi i niebieskimi żyłami. — Dawno temu, na Ziemi… kiedy jeszcze uczyliśmy się pilotażu… kupiliśmy go od jednego Indianina w starym, starym miasteczku o nazwie Santa Fe.

Pochylił się.

— Lilith? — wyszeptał. — Lilith, co cię zabiło?

Nie znaleźliśmy żadnych innych kości, ani nawet niczego, co by mogło nam wyjaśnić, jaka siła czy trucizna trzymała dżunglę z dala od tej samotnej rośliny. Odlecieliśmy o zmierzchu. Lance Llandark z czułością przeniósł do helikoptera zebrane kości. Bardzo ostrożnie zabraliśmy też ze sobą kilka liści i uschniętych strąków tej zwariowanej samotnej rośliny. Nie znaleźliśmy żadnych innych śladów.

Cierpliwie, dzień za czterdziestogodzinnym dniem, przeszukaliśmy pozostałe miejsca. Znaleźliśmy ślady po odrzucie silników, pełno rozmaitego zielska, ale niczego podobnego do straszliwego koszmaru nad szkieletem Lilith Llandark. Nie udało się nam znaleźć żadnych szczątków wraków statków. Niczego, co by mogło nam powiedzieć, jak ta planeta zamordowała zaginione ekspedycje.

Dzień za długim jak wieczność dniem, nieznane spoglądało na nas ukradkiem z miejsc, gdzie potajemnie kryły się jego geny. Życie miało tutaj charakter wyłącznie roślinny. Nie widzieliśmy żadnego ruchu wskazującego istnienie zwierząt, nie słyszeliśmy żadnych zwierzęcych krzyków, ani buczenia owadów. Cisza stawała się coraz bardziej przytłaczająca.

Dzień za pełnym desperacji dniem, wracaliśmy do mikrosondy.

— Odpowiedź kryje się w genach — wyszeptał ponuro Lance Llandark. — Nie mamy innej szansy.

Przez cały czas korzystał z sondy do badania najdziwniejszych genów ze wszystkich; pochodzących z koszmarnej rośliny rosnącej koło ciała jego żony. Były one odmienne od wszystkich innych, jakie spotkaliśmy na tej planecie. Podwójne spirale łańcuchów DNA były monstrualnie długie; wiele powiązań nukleotydów zawierało atomy miedzi lub arsenu.

— To dziwne! — nieustannie mruczał pod nosem Lance. — W innych rosnących tu roślinach, nie ma miedzi ani arsenu. Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

Właśnie pracował z sondą, kiedy usłyszeliśmy krzyk kobiety. W tej dławiącej ciszy, poderwał nas wszystkich na nogi. Przepychając się nawzajem, pognaliśmy do włazu.

Obdarta, poplamiona czymś, co wyglądało jak krew, przecisnęła się przez zwoje powstrzymujących ją pnączy. Wyrwała się na otwartą przestrzeń po lądowaniu, wymachując jakąś brudną szmatą. W połowie drogi do statku, upadła w błoto.

Lance Llandark razem z dwoma ludźmi, pobiegli by zabrać ją na statek. Jęknęła i uniosła do góry głowę. Łzy wyżłobiły bruzdy w pokrywającym jej twarz brudzie.

— Lance! — wydyszała. — Mój kochany.

— Lilith… — jego twarz nagle się skurczyła. — Przecież znalazłem Lilith martwą!

— Nieomal umarłam. — Próbowała podnieść się na nogi. — Posłuchaj, wszyscy zostaliśmy uwięzieni w tym lesie. Lądowanie alarmowe, kiedy próbowaliśmy stąd odlecieć. Zniszczeniu uległo nasze wyposażenie astrogacyjne. Potrzebujemy waszego zapasowego astropilota…

— Do tyłu! — machnął na nas ręką. — Z powrotem na statek!

— Co się dzieje — dosłownie nas sparaliżowało. — Przecież to twoja żona…

— Na pokład! Natychmiast!

Posłuchaliśmy jego oszalałego głosu.

— Pomocy… — wyszeptała słabo, leżąc w błocie za naszymi plecami. — Ci, którzy ocaleli… potrzebują astropilota… żeby wrócić do domu…

Szczęk pokrywy włazu uciął jej głos.

Naskoczyliśmy z gniewem na Llandarka.

— Stać! — rzucił ostrym tonem. — Nie oszalałem – za to ta planeta, tak. Chodźcie ze mną do mikrosondy. Badałem właśnie nasiono z rośliny, którą znaleźliśmy koło kości Lilith. Mocno mnie zaintrygowało. Było tak bardzo…

Pomimo napięcia zdołał odnaleźć w głowie słowo, najlepiej odzwierciedlające to co chciał powiedzieć.

— Dowolne! Te bezkształtne liście, poskręcana łodyga, to sterylne nasiono. Miedź i arsen w tych niepotrzebnych powiązaniach. Za wiele genów nie miało żadnych funkcji. Były w ogóle nieprzydatne!

Spojrzał na nas.

— Właśnie odkryłem klucz, kiedy to stworzenie zaczęło krzyczeć. Atomy miedzi i arsenu nie są instrukcjami genetycznymi dla roślin. To była wiadomość dla nas – słowa powtórzone tryliony razy i ukryte w każdej komórce tej rośliny!

— Słowa? — ktoś wyszeptał pustym głosem. — Słowa zapisane przy pomocy atomów?

— Zapisane w kodzie dwójkowym — W jego nachmurzonym spojrzeniu ponury nastrój mieszał się z triumfem. — Rozumiecie, to zielsko jest mutantem. Prawdziwa Lilith utworzyła pierwszą komórkę przy pomocy swojej mikrosondy. Zostawiła ją – przypuszczam, że w swym własnym ciele – jako wiadomość, której nie mogła przejąć żadna pseudo-Lilith.

Na dworze znów coś straszliwie wrzeszczało.

— Niech każdy atom miedzi będzie kropką — wyszeptał. — A każdy atom arsenu kreską. Odczytując to w kolejności wyznaczonej przez

łańcuchy DNA, otrzymujemy zakodowaną wiadomość. Komputer właśnie ja rozkodowuje.

Nacisnął przycisk i zafurkotała drukarka.

DO WSZYSTKICH, KTÓRZY TU SIĘ POJAWIĄ… NIKOMU NIE UDZIELAJCIE POMOCY… ODLATUJCIE Z TEJ PLANETY… TUTEJSZE ISTOTY ŻYWE SĄ PSEUDOMORFICZNE… NIE POZWÓLCIE BY STĄD SIĘ WYDOSTAŁY… PRZEKAŻCIE TYLKO LANCE’OWI LANDMARKOWI, WYRAZY MIŁOŚCI… OD JEGO ŻONY, LILITH… I ODLATUJCIE Z TEJ PLANETY, SZYBKO…

Na dworze rozległo się szaleńcze, bełkoczące skrzeczenie.

Odlecieliśmy z tej planety i mamy nadzieję, że już nigdy tam nie wrócimy.

KONIEC